

REYES MONFORTE

Okrutna miłość

przełożył Zbigniew Zawadzki

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału

AMOR CRUEL

La desgarradora lucha de una madre
española por su hija

© Reyes Monforte, 2008

© Ediciones Planeta Madrid, S.A., 2008

© Wydawnictwo WAM, 2014

Redakcja

Aleksandra Marczuk

Opieka redakcyjna

Anna Pasieka-Blycharz

Korekta

Dariusz Godoś

Projekt okładki

Magdalena Kuc

Foto © Magdalena Kuc

Łamanie

Barbara Bodzoń

ISBN 978-83-277-0149-7

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447

faks 12 62 93 261

e.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa:

SKLENIARZ • Kraków

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Jeśli tak wygląda wasza miłość,
błagam was, żebyście mnie nienawidzili.*

JEAN BAPTISTE POQUELIN (MOLIER)

„Sycylijczyk”

· 1 ·

Widok z okien apartamentu położonego w zachodniej części Nowego Jorku był przedmiotem zazdrości wszystkich znajomych i dumą Marii José. Za każdym razem, kiedy wyglądała przez ogromne okna okalające werandę jej mieszkania i pozwalające podziwiać nowojorską linię dachów – tę samą, która uwieczniona na pocztówkach i fototapetach eksponowana była do znudzenia w tutejszych sklepach z pamiątkami – odczuwała radość życia i apetyt, by zjeść cały świat.

Uśmiechała się mimowolnie, ilekroć jej spojrzenie zaczynało błądzić po idyllicznie narysowanym horyzoncie. Miała wtedy poczucie, że cała skrzęca się światłami metropolia leży u jej stóp.

– Nowy Jorku, tu jestem! Zrób dla mnie miejsce, bo mam zamiar zabawić tu dłużej. I uprzedzam, że będzie się o mnie sporo mówić!

W czasach, kiedy była jeszcze dzieckiem, rodzice zdecydowali, że zarówno ona, jak i jej siostra Victoria będą studiować za granicą. Chcieli, żeby córki opanowały angielski i zdobyły to niezwykle cenne doświadczenie, jakim – w ich przekonaniu – było pełne wtopienie się w kraj inny niż rodzinny – w język, kulturę i obyczaje odmienne od tych, które za sprawą tradycji rodzinnej dziewczynki przyswajały sobie od najmłodszych lat. Już w bardzo wczesnym wieku Maria José miała możliwość pobierania nauk za granicą. Dzięki programom wymiany uczniów trafiła kilka razy do małych miasteczek w Irlandii i Wielkiej Brytanii. Ale od momentu, kiedy jako zaledwie siedemnastoletnia dziewczyna została

przyjęta do liceum w Pensylwanii, zrozumiała, że jej przyszłość będzie związana ze Stanami Zjednoczonymi – krajem, który uwielbiała, wręcz ubóstwiała, i z którym postanowiła złączyć swój los, kiedy tylko nadarzy się ku temu okazja. I taka okazja właśnie nadeszła.

María José Carrascosa, z zawodu prawniczka, właśnie zaczynała nadawać kształt swemu prywatnemu „amerykańskiemu marzeniu” i pragnęła, żeby cały świat o tym wiedział i brał w tym procesie udział. Uznała, że najlepszym sposobem, żeby to osiągnąć, będzie wydanie kolacji we własnym mieszkaniu. Kupiła je dzięki pomocy rodziców i własnej umiejętności targowania się. Apartament był położony w świetnej okolicy. To właśnie w jego ścianach zaczęły kiełkować pomysły, których celem było zapewnienie Marii José dostatniego życia.

– Zadzwońię do Davida. Na pewno pomoże wszystko zorganizować – pomyślała.

David był młodym fryzjerem – jej najlepszym przyjacielem i niestrudzonym powiernikiem. Spotkali się na urodzinach wspólnej znajomej, która chciała ich ze sobą poznać, wiedząc, że oboje są Hiszpanami i mieszkają w Nowym Jorku, na dodatek – jakby nie dość było tych zbiegów okoliczności – przy tej samej ulicy. Po pewnym czasie, kiedy solenizantka zdmuchnęła już urodzinowe świece, María José poszła do Davida, co było zadaniem dość skomplikowanym ze względu na dużą liczbę zebranych, w większości zresztą Latynosów.

– Ty jesteś David, prawda? Chciałam cię poznać.

Od tamtej chwili stali się nierozłączni. On był oczarowany – niemal zahipnotyzowany – inteligencją, urodą, zaradnością i witalnością tej żywej i wesołej kobiety. Ona zaś zachwyciła się nieśmiałym i dobronudszym mężczyzną, ponieważ czuła się przy nim podziwiana i kochana. Nietrud-

no było ich spotkać razem o dowolnej porze, w dowolnym zakątku miasta: w sklepach, restauracjach, supermarketach, w kinie, na wystawach malarstwa, a przede wszystkim – po zapadnięciu zmroku – w klubach tanecznych. Oboje uwielbiali tańczyć, szczególnie gdy chodziło o popisy na głównym parkiecie przy akompaniamencie latynoskich rytmów. Dzięki zręczności, jaką oboje wykazywali, i radości, którą zarażali innych, nierzadko się zdarzało, że pozostali tancerze tworzyli wokół nich krąg i wspomagali ich rozkołysane ruchy okrzykami zachęty oraz klaskaniem w dłonie. Ich taneczne występy zawsze kończyły się gromką owacją widzów wyrażającą głęboki podziw. Wielokrotnie oboje stawali się atrakcją wieczoru. Rozumieli się, cieszyli się swoim towarzystwem i byli idealnie zgrani – jakby dla siebie stworzeni. I do pewnego momentu wydawało się, że żadne z nich nie potrzebuje niczego więcej. Aż do pamiętnej kolacji, która miała miejsce w domu Marií José.

Niewielu przyjaciół i znajomych było gotowych zignorować to wydarzenie. Przebywanie w towarzystwie Marií José z całą pewnością sprawiało wszystkim przyjemność. Jej ekstrawertyczna osobowość, dobry humor, umiejętność prowadzenia zajmujących rozmów, uwodzicielski sposób opowiadania o rozmaitych rzeczach, pozwalający w parę sekund przykuć uwagę słuchaczy, a nawet niespotykana pewność siebie, którą w niektórych sytuacjach wykazywała – wszystko to sprawiało, że podczas spotkań towarzyskich zajmowała zawsze centralne miejsce, co niektórzy mogli mylnie interpretować. Także magia mieszkania należącego do pochodzącej z Walencji pani mecenas sprawiała, że wręcz nieprawdopodobne było odrzucenie zaproszenia na miły wieczór w jej towarzystwie. Nikt bowiem nie chciał przegapić okazji obejrzenia panoramicznego widoku Nowego Jorku,

który oferowało mieszkanie Marii José. W rzeczy samej, wielu gości przyszło wyposażonych w aparaty fotograficzne lub wideokamery, z zamiarem uwiecznienia linii nowojorskiego horyzontu, jeszcze nieokaleczonej przez międzynarodowy terroryzm.

Kolacja była obfita i smaczna. Nie zabrakło też okazji do sugestywnej prezentacji hiszpańskich win. María José – gospodyni doskonala – musiała w tym celu odwiedzić kilka najlepszych sklepów winiarskich w okolicy. Kiedy podejmowała ten wysiłek, pocieszała ją myśl o sukcesie, który musiał zwieńczyć wytrwałe poszukiwania. Po posiłku przyszła pora na zwierzenia. Była to niewątpliwie najzabawniejsza część tego typu spotkań – oczekiwana przez wszystkich w napięciu, ponieważ stanowiła okazję, by wyzwolić się z codziennej, zwykle nudnej rutyny, której wspomnienie pozostawił zebranym dobiegający kresu dzień. O tak późnej godzinie w domu Marii José zostawali już tylko najbliżsi przyjaciele, którzy – gdy rozwiązywały się im języki – popuszczali przy tej okazji wodze wyobraźni.

Tamtej nocy zostały w końcu tylko trzy przyjaciółki gospodyni oraz David jako jedyny przedstawiciel płci męskiej. Nadszedł też czas – o czym wszyscy zgodnie zapewniali – „na ostatnią już kolejkę tego pysznego i niezwykle drogiego wina”. Ożywiona rozmowa dotyczyła najnowszych przeżyć miłosnych jednej z kobiet, uczuciowego rozczarowania, które stało się niedawno udziałem drugiej, oraz niepohamowanego apetytu seksualnego, który znaczył życie najstarszej z nich – opowiadającej zresztą o tych sprawach w taki sposób, że jedyny facet w towarzystwie poczuł się zgorszony. Pośród tych opowieści María José poprosiła w pewnym momencie zebranych o chwilę ciszy i spokoju, chcąc wznieść toast. Po serii teatralnych odchrząknięć i prób przykucia uwagi zebranych wszelkimi możliwymi sposobami – a opanowała tę

sztukę do perfekcji – zabrała w końcu głos. Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią, tak jakby oczekiwano, że powie coś naprawdę wyjątkowego, co będzie wyrazistym zakończeniem doskonałej imprezy.

– Drogie panie – tu zrobiła pauzę dedykowaną specjalnie Davidowi, do którego skierowała uśmiech i pełen udanej kurtuazji ukłon – oraz drogi panie. Oto moje przesłanie: pragnę znaleźć sobie życiowego partnera!

Ostry śmiech koleżanek przerwał ciszę i skupienie, które zapanowało chwilę wcześniej na skutek sygnałów wysyłanych przez gospodynię. Goście poczuli się zawiedzeni złożoną deklaracją.

– I o co tyle hałasu? Przecież to nic nowego! A myślisz, że czego byśmy sobie mogli bardziej życzyć, ślicznotko?

Śmiechy nie ustawały. Wznoszono kolejne toasty, ale nie tyle za panią domu – która i tak monopolizowała je przez większą część wieczoru – ile za miłość. Jednak żadna z obecnych kobiet nie wydawała się rozumieć prawdziwego znaczenia wyznania złożonego chwilę wcześniej przez Marię José.

Inaczej było w przypadku Davida, który wyczuwał swoją serdeczną przyjaciółkę tak dobrze, jakby oboje porozumiewali się jakimś specjalnym szyfrem, do którego klucz znali tylko oni. Wiedział, że Maria José pragnęła znaleźć sobie partnera. Ale nie każdy był jej wart. Zainwestowała w siebie zbyt wiele czasu, pieniędzy i wysiłku, by teraz miała stać się kobietą, gotową z dnia na dzień związać się z byle kim. Nie chciała zbyt ryzykować. Nienawidziła myśli, że miałyby się bawić w „kochaj, lubi, szanuj” z każdym napotkanym mężczyzną, nie chciała czuć się przymuszona do udziału w absurdalnym i nudnym castingu za każdym razem, gdy ktoś zbliżył się do niej w dyskotecę, stołówce czy na skrzyżowaniu podczas oczekiwania na zielone światło – co zresztą zdarzało się jej dość często. Miała poczucie, że nie chce

tracić już czasu na udział w tych typowych – jak to określała – drobnych gierkach emocjonalnych. Miała ochotę na coś bezpiecznego. Czuła się zmęczona i znużona próbami. Potrzebowała czegoś definitywnego. Zbliżała się do czterdziestki i w jej życiu nie było już miejsca na dalsze eksperymenty z zamkami z piasku.

Przeżyła już dość rozczarowań i nieudanych związków. Właśnie kilka miesięcy wcześniej doszła do siebie po zawodzie miłosnym i nie miała najmniejszej ochoty ponownie doświadczać takiego uczucia. Zdecydowanie nie chciała fundować sobie kolejnego niepowodzenia w relacjach z mężczyznami. Musiała mieć jasny umysł, by wcielać w życie ambitne projekty zawodowe i czerpać z nich korzyści finansowe, odnosić sukcesy i zdobywać uznanie. Wszystko już przemyślała, i wnioski, do jakich doszła, wydały się jej szalenie pociągające.

Kiedy w końcu wzniesiono ostatni toast i goście zaczęli do niej podchodzić, żeby pogratulować udanego wieczoru, jedna z przyjaciółek, Katrina, szepnęła jej do ucha:

– Naprawdę chcesz kogoś znaleźć? Wiem, jak to zrobić.

Wypiła jednym haustem pozostałe w kieliszku wino i po chwili teatralnego zachwytu nad trunkiem odsłoniła przed przyjaciółką swój sekret:

– Internet. Nic już nie komplikuj, moja droga. To jest bezpieczniejsze i pewniejsze niż jakakolwiek inna metoda, która mogłaby ci przyjść do głowy. To tak jak dobieranie kostiumu, torebki i kapelusza z katalogu. Wybierasz to, co ci najbardziej odpowiada, i nie musisz tracić czasu na sprawdzanie wszystkich fasonów. A jak potem coś ci nie pasuje, wiesz już, co robić. Naprawdę, to całkiem łatwe. Żadnej frywolności – tylko trzeźwa analiza. W naszym wieku trzeba unikać głupot.

Twarz Marii José wyrażała jednocześnie skrajne zdumienie i zakłopotanie. Nie wiedziała, czy przyjaciółka mówi poważnie, czy się z niej naigrawa, czy też zawartość alkoholu w jej krwi osiągnęła tak niepokojąco wysoki poziom, że jej mózg nie funkcjonował tak jak powinien u dorosłej kobiety. Niemniej jednak jej rozmówczyni zinterpretowała ten wyraz twarzy, pełen zadziwienia i oszołomienia, jako oznakę aprobaty wobec złożonej propozycji. Z tego też powodu Katrina bez wahania zasugerowała przyjaciółce – z nieco wyniosłą miną charakterystyczną dla osób, które mają się za nosicieli arcyważnego klucza pozwalającego uzyskać dostęp do wielkiej tajemnicy – że zadzwoni do niej nazajutrz i, o ile María José nadal będzie zainteresowana ofertą, wezmą się razem do dzieła. María José obiecała, że to przemyśli.

· 2 ·

Następnego dnia María José sama zadzwoniła do Katriny, choć właściwie nie wiedziała, czemu to robi. Czy chciała się upewnić, że przyjaciółka bezpiecznie wróciła do domu? A może chciała sprawdzić, czy poprzedniego wieczoru mówiła poważnie? Niewykluczone zresztą, że zadzwoniła wiedzona zwykłą ciekawością. Przez cały czas bowiem bawiło ją i intrygowało zgadywanie, jaki też plan obmyśliła jej prywatna stręczycielka. Wypicie kawy w jej towarzystwie mogło rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Po południu przyjaciółki znów spotkały się w tej samej scenerii co poprzedniego wieczoru. Tym razem jednak wino zastąpiły aromatyczna kawa, egzotyczna herbata i ciasteczka do pogryzania podczas rozmowy.

– W sieci trzeba być ostrożnym, zresztą tak samo jak w życiu.

Maríę José śmieszył akademicki ton, który przybierała jej przyjaciółka, ilekroć uważała, że musi coś komuś wytłumaczyć – czy to objaśnić, jak dojechać metrem do Empire State Building, czy też przekazać, jak przygotować słynny rostbef według jej rodzinnej receptury.

– Na świecie jest wielu ludzi pozbawionych skrupułów i nie ma co ułatwiać im zadania. Ale ja znam pewien poważny i dyskretny portal, w którym można znaleźć profil dokładnie takiej osoby, o jaką ci chodzi. Oczywiście, i tak będziesz potrzebować sporo czasu i trochę wytrwałości. Ale mówię ci, nie chodzi o zwykły portal randkowy, tylko naprawdę wirtualny kunszt. Jak to mówią u was w Hiszpanii... koronna robota?

– Koronkowa.

María José nie ukrywała, że cała sytuacja ją bawi, choćby z racji tej absurdalnej pozy erudytki, którą przybrała jej przyjaciółka.

– Wszystko jedno. Posłuchaj, znam parę osób, które próbowały ten portal i teraz są zachwycone. Oczywiście byli i tacy, co nie mieli tyle szczęścia i musieli wszystko zaczynać od nowa. Tego nigdy nie można przewidzieć, zanim się nie spróbuje. Znasz moją zasadę, Mary Jo: trzeba żałować tego, co się zrobiło, a nie tego, z czego się zrezygnowało.

Katrina przez chwilę zastanawiała się nad zdaniem, które właśnie wypowiedziała, tak jakby nie była pewna, czy nie popełniła w nim błędu. Kiedy jednak zobaczyła, że jej złota zasada wywarła pożądaný efekt, przestała się przejmować i ciągnęła dalej:

– Zostawię ci adres i sama zdecydujesz. I potem mi opowiedz, jak ci idzie... jeśli będziesz chciała, oczywiście – zakoń-

czyła tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że to ostatnie zastrzeżenie wypowiedziane zostało nie całkiem szczerze.

– Nie, wejdźmy tam od razu. Jeśli to rzeczywiście tak wygląda, jak mówisz, niewiele ryzykuję.

Kiedy jednak María José zobaczyła, że stoi przed nią zadanie udzielenia odpowiedzi na cztery tysiące pytań – albo będzie musiała odłożyć na przyszłość ewentualne nowe doświadczenia z globalnym środowiskiem – dopadły ją wątpliwości i poczuła pewne rozczarowanie.

– Cztery tysiące pytań?! To nie chodzi o żaden profil! To jest sposób na obrabowanie człowieka z czasu i nadużycie jego cierpliwości, tak jak w całym internecie. Może potrzebują jeszcze, żebym im podała grupę krwi i czas jej krzepnięcia!

– No tak, o to też pytają. Trochę dalej.

Katrina zaczęła zbierać swoje rzeczy i wkładać płaszcz. Robiło się późno, a od pewnego czasu widziała, że jej obecność wcale nie jest aż tak ważna, jak jej się wcześniej zdawało.

– Są ludzie, którzy chcą mieć wszystko pod kontrolą – wyjaśniła. – Nie masz pojęcia, ile jest na świecie rzadkich i słabo poznanych chorób. Trzeba uważać, z kim się umawiasz, trzeba o wszystkim myśleć. Idę już. Cierpliwości, kochana – poradziła przyjaciółce, wykonując wargami gest składania pocałunku. – Jeśli się chce coś osiągnąć, trzeba być cierpliwym. Zadzwon do mnie.

María José spędziła przed ekranem komputera trzy dni, odpowiadając na wszelkiego rodzaju pytania – na jedne chętniej, na inne z mniejszym zapałem. W miarę jak wystukiwała na klawiaturze odpowiedzi dotyczące jej upodobań, preferencji, gustów, wykształcenia, ilorazu inteligencji, pozycji społecznej i ekonomicznej – oraz drugą, taką samą porcję danych związanych z osobą, którą chciałaby poznać – poczuła, że jej palce omdlewają, a kręgosłup za chwilę pęknie.

Nadszedł moment, w którym najzwyczajniej musiała zrobić przerwę w niekończącym się i wycieńczającym ją wywiadzie, choćby po to, żeby rozprostować kości i pozwolić odpocząć palcom, porozciągać się i uwolnić od napięcia.

– Mam po dziurki w nosie tych waszych pytanek. Jeśli z tego wszystkiego nic nie wyjdzie, walnę Katrinę laptopem w łeb, za to że mnie namówiła na coś tak absurda! – obiecywała sobie w duchu.

Kiedy zdołała wreszcie odpocząć i pozbyć się stuporu, w który wpadła w poprzednich dniach, była już niedziela. Od dziecka lubiła się wylegiwać w łóżku, szczególnie w święta, kiedy nie było ku temu żadnych przeszkód. Także i tego dnia spędziła trochę czasu, leżąc i oddając się słodkiemu nieróbstwu. Nie była w stanie ocenić, jak długo ten stan trwał, ale też w najmniejszym stopniu jej to nie trapiło. W końcu postanowiła wstać i stawić czoła wyzwaniom dnia, który zapowiadał się relaksowo i całkowicie domowo. Zaparzyła sobie filiżankę mocnej kawy, która intensywnie parowała niesiona z kuchni na taras – zupełnie jakby chciała zostawić po sobie jakiś ślad, dzięki któremu dałoby się ją potem wytropić. Następne kilka minut María José podziwiała cudowny widok miasta, aż do chwili, kiedy upijając kolejny łyk pysznej i energetyzującej kawy, odwróciła się tak, że w jej polu widzenia znów znalazł się komputer.

Po chwili zastanowienia zasiadła przed migoczącym ekranem.

– Zobaczymy, czym mnie dziś zaskoczysz – pomyślała.

Minął niemal tydzień od czasu, kiedy skończyła odpowiadać na niezliczone pytania dotyczące wymarzonego profilu jej idealnego mężczyzny. Większość tego czasu spędziła trawiona gorączką kolejnego projektu biznesowego i kompletnie zapomniała sprawdzić, jakie rezultaty przyniosła tamta orgia pytań i bardzo osobistych dociekań. Nowe wyzwania

zawodowe zawsze podnosiły poziom adrenaliny Marii José i przekształcały ją w kobietę jeszcze bardziej nadaktywną niż zwykle. Ta hiperaktywność bez wątpienia przekraczała wówczas wszelkie znane normy i sprawiała, że część znajomych zniknęła na pewien czas z jej życia, bo nie potrafiła nadążyć za przyspieszonym rytmem jej funkcjonowania. Ale oczywiście przy założeniu, że w takich sytuacjach Maria José w ogóle miała ochotę ich widywać – w jej przypadku bowiem było to założenie zbyt śmiałe. Nowy biznes, tym razem związany ze sprzedażą oliwy, zajmował wszystkie jej myśli, tak jak w swoim czasie projekt dotyczący cukru. Gorąco pragnęła, żeby tym razem szczęście wreszcie się do niej uśmiechnęło, a konto bankowe napęczniało.

– Biedna babcia – wspominała Maria José – tak mi pomogła finansowo przy tej historii z cukrem i okazało się, że wszystko na próżno. Co za pech!

Nie rozstając się ze swą poranną dawką kofeiny, Maria José zaczęła wystukiwać na klawiaturze adres portalu, który podsunęła jej przyjaciółka. Chciała dostać się do skrzynki stworzonej specjalnie po to, żeby przyjmować ewentualne odpowiedzi na jej poszukiwania. Kiedy już się zalogowała, mimowolnie szeroko otworzyła oczy i usta – jednocześnie, tak jakby wszystkie obracały się na jednym, perfekcyjnie naoliwionym zawiasie, zapewniającym ich zsynchronizowany i płynny ruch.

– Nie wierzę... Co... co to jest?

Ponad tysiąc czterysta osób zainteresowało się jej zapytaniem i liczyło na to, że zwróci na nie uwagę. Niektóre wręcz o to błagały. A przecież ograniczyła poszukiwania do dwóch miast – Nowego Jorku i Filadelfii – tak jak jej doradziła promotorka całego przedsięwzięcia, przyjaciółka Katrina. Wciąż jeszcze oszołomiona liczbą odpowiedzi, która pozwalała uwierzyć, że naprawdę jest dobrem intensywnie poszukiwa-

nym, zaczęła otwierać wiadomości na chybił trafił. Zawierały one najrozmaitsze rodzaje fotografii i dokumentów załączanych na potwierdzenie tego, o czym zapewniały poszczególne profile. Przed jej oczyma zaczęli paradować na zdjęciach mężczyźni mniej lub bardziej atrakcyjni fizycznie, ale pragnący pozytywnie zaskoczyć adresatkę najróżniejszymi przejawami swojej pozycji społecznej i kondycji finansowej. Niektóre z tych przekazów uderzały całkowitym brakiem skrupułów w kwestii udowadniania siły nabywczej ich nadawców i przechwalania się nią bez szczególnych zahamowań i fałszywej skromności. W części co bardziej ekscentrycznych zgłoszeń z pewnością nie starczyło miejsca ani na skromność, ani na przyzwoitość.

Wszystko to byłoby znacznie bardziej zabawne, gdyby można było się tym z kimś podzielić. Działając pod wpływem tego przeświadczenia, María José zadzwoniła, nie tracąc ani sekundy, do swego wiernego giermka. Była przekonana, że w jego obecności zdoła wycisnąć z tej nieoczekiwanej korespondencji więcej zabawy i istotnych treści.

– David – rzuciła w słuchawkę – przechodź przez ulicę i przyjdź tu do mnie. Chcę, żebyś coś zobaczył.

Kiedy już oboje, niemal zahipnotyzowani, wpatrywali się w ekran komputera, nieustannie plujący datami, liczbami i fotografiami – wręcz tysiącami fotografii – ich komentarze stały się znacznie bardziej soczyste. Szczególne zainteresowanie wzbudziła w nich fiszka pewnego mężczyzny greckiego pochodzenia, który pozował do zdjęcia uśmiechnięty, stojąc przed ogromnym jachtem, ledwo mieszczącym się na ekranie.

– Przecież ten facet jest wielkości komara. W ogóle go nie widać na tle tego statku.

Inny zaś – w opinii podekscytowanych przyjaciół – połykający nadmierną opalenizną, wyglądał, jakby dosiadł ko-

nia, by objechać swoje posiadłości, na których wznosił się pałac: jeden z tych, w których liczba łazienek przyciąga uwagę bardziej niż liczba sypialni. Było też zgłoszenie pewnego Francuza, który sfotografował się, siedząc w fotelu prywatnego odrzutowca. „Zmieścimy się tu oboje i stąd będziemy poznawać świat. Na twoim miejscu nie traciłbym z pola widzenia mężczyzny, który do tego wszystkiego wciąż ma jeszcze bujną czuprynę”.

Na śmiechach, komentarzach i snuciu rozmaitych wizji María José i David spędzili całą niedzielę. Po kolacji mężczyzna zamierzał zrobić sobie wolne i oderwać się od istnego młyna, w którym tkwili oboje od kilku godzin. Kiedy zaczynał się mościć na sofie, María José znów go zawołała.

– Szybko, chodź tu, zobacz, jaka mała!

– A ten czym się chwali? Ma harem, pustą plażę, jest właścicielem nowo odkrytej planety, którą chce ochrzcić twoim imieniem...?

– Ależ nie, głuptasie. Nic takiego. Ma misia – pluszowego misia oraz choinkę. To ci przystojniak!

– Biedaczek, naiwna duszyczka... I co chce z tym zrobić? – Wypowiadając te słowa, David miał nadzieję, że przyjaciółka pozwoli mu pozostać w wygodnej pozycji, ale się rozczarował.

– Mógłbyś tu przyjść i spojrzeć? Zakładałam, że jesteś tu po to, żeby mi pomagać.

David wyczuł w głosie Maríi José nutę impertynencji i uwierzył, że jego przyjaciółka rzeczywiście natrafiła tym razem na coś odmiennego, co wyjątkowo przyciągnęło jej uwagę. Były to dwa zdjęcia, które przysłał niejaki Peter Innes. Na jednej z tych fotografii mężczyzna, w swetrze z grubej wełny, obejmował małego, pluszowego misia, a na drugiej szczerzył się w uśmiechu, stojąc pod bujną, rozłożystą choinką przystrojoną lśniącymi ozdobami.

– Ale, Mary Jo, jeśli on ma tylko ten świerk z kolorowymi bombkami, który za nim stoi, to... to dlaczego tak mu się przyglądasz? – zapytał całkiem szczerze.

– David, błagam cię, nie mów mi, że patrząc na to zdjęcie, nie wyczuwasz jakiejś czułości... – Znów spojrzała na przesłany plik i na fotografię. – Mnie się podoba.

– No owszem, nie mówię, że nie. Ale może mi powiesz, jakie masz plany w związku z choinką obwieszoną łańcuchami i z tym pluszowym misiem. Naprawdę, czasem z trudem za tobą nadążam...

Jeszcze tego samego wieczoru María José postanowiła wysłać do Petera Innesa wiadomość z zamiarem wyrażenia w niej wstępnego zainteresowania. Po pierwszym e-mailu posypały się kolejne, wysyłane przez obie strony, a w końcu codzienny już czat przerodził się w pierwsze spotkanie. To miała być kolacja w którejś z restauracji w Little Italy¹ – jednej z nowojorskich dzielnic o najstarszej tradycji, długiej historii i bogatej legendzie, którą w dużej mierze zawdzięczała międzynarodowej sławie realizowanego tam ogromnie popularnego cyklu filmowego *Ojciec chrzestny*.

María José wiedziała, że tego wieczoru musi wyglądać naprawdę wystrzałowo. Nie mogła nikogo zawieść – włącznie z samą sobą. Musiała promieniować, zadziwiać, po prostu wypaść doskonale. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że trzeba skorzystać z pomocy Davida: to on musiał zadbać o przygotowanie jej na tę okazję.

Wiedziała, że jej obecny powiernik i przyjaciel w czasie, który upłynął od jego przyjazdu do Nowego Jorku i znalezienia pierwszej pracy w zakładzie fryzjerskim w dzielnicy Chelsea, stał się jednym z najbardziej rozchwytywanych

¹ Włoska dzielnica na dolnym Manhattanie, niegdyś miejsce zamieszkania dużej populacji imigrantów z Włoch, obecnie obszar, w którym funkcjonują liczne włoskie sklepy i restauracje (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

nowojorskich fryzjerów. Od pierwszego kontaktu wzbudzał sympatię i każda z klientek chciała powierzyć swój wygląd jego niezwykłym umiejętnościom. Nikt, kto widział go przy pracy i miał okazję przyjrzeć się jej rezultatom, nie dziwił się, że ten przybysz z Madrytu zarabia około dziesięciu tysięcy dolarów tygodniowo plus napiwki pozostawiane przez wdzięczne klientki – napiwki równie imponujące co lista oczekujących na przyjęcie kobiet. David dawał pokaz swoich talentów artystycznych w ponad dwudziestu salonach piękności na całym świecie, a w Stanach Zjednoczonych przebywał bez legalnych dokumentów – tylko dlatego, że zwyczajnie nie miał ochoty starać się o nie. Jego układ z właścicielką salonu fryzjerskiego był dość prosty: dla siebie zostawiał połowę zarobków, a drugą otrzymywała ona. María, z pochodzenia Kolumbijka, starała się jak mogła, żeby David był zadowolony i nie chciał odejść do konkurencji. Proponowała nawet małżeństwo – wyłącznie po to, żeby pomóc mu zalegalizować pobyt w Stanach Zjednoczonych, ale on zawsze odmawiał. Ośmielił się jedynie towarzyszyć szefowej w kilku wyprawach do outletów znanych marek, z których wychodził zawsze w nowej marynarce i świetnie dobranych spodniach.

David mieszkał w Stanach Zjednoczonych prawie od czterech lat i jako że nie szukał kłopotów, one także go omijały. Zwykł wspominać dzień, w którym przybył do tego kraju. Wyszedł nieco niezgrabnie z samolotu, do którego wsiadał w Madrycie trochę zmordowany na skutek przyjęcia pożegnального, które zorganizowali mu przyjaciele. Z sumą sześciuset euro w kieszeni wsiadł do autobusu kursującego z lotniska na Manhattan. Kiedy tam dotarł, w pierwszym hotelu, do którego wszedł, zażądano od niego pięćset dolarów za pokój. Postanowił zatrzymać taksówkę. O dziwo, kierowca okazał się z pochodzenia Kolumbijczykiem. Polecił mu pensjonat, który tak naprawdę był domem schadzek. Daleki

od zdenerwowania, które w tych okolicznościach byłoby zupełnie zrozumiałe, David zapłacił za nocleg i znalazłszy się już sam w swoim pokoju, zaczął skakać po łóżku – aż usłyszał niepokojące dzwonięcie własnych zębów – i krzyżeć: „Jestem w Ameryce! Jestem w Ameryce!”, podczas gdy pilotem zmieniał jednocześnie kanały telewizyjne. Wydawało mu się zresztą, że w swoim odbiorniku ma ich kilka tysięcy. Następnego dnia znalazł pracę i jego dłonie zaczęły układać fryzury z prędkością przyprawiającą o zawrót głowy.

Od tamtej niemalże cyrkowej sceny, która rozegrała się na wynajętym w burdelu łóżku, minęło ponad trzy i pół roku. A teraz nadszedł moment, w którym zwinność dłoni Davida miała zadecydować o powodzeniu szczególnej misji: musiał zmobilizować całą swoją – niemalą zresztą – wiedzę na temat kobiecej urody, żeby pomóc przyjaciółce. Efekt miał przecież przesądzić o jej przyszłym życiu.

– To będzie mój wieczór, Davidzie. Muszę oszołomić Petera. A ty masz w rękach czarodziejską różdżkę, która potrafi zamienić Kopciuszka w księżniczkę pełną gębą.

I David nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Kiedy skończył pracę, uroda Marii José świeciła blaskiem jaśniejszym niż kiedykolwiek wcześniej. Zawsze wierny najnowszym trendom (a był to akurat czas, kiedy modne stały się grzywki w różnych tonacjach kolorystycznych), David poddał włosy przyjaciółki działaniu aż ośmiu różnych farb. Od bieli – niemal przezroczystej dzięki refleksom, które nadały całej grzywce blasku – aż po fiolet, który nałożył bliżej czubka głowy Marii José. Do tego idealny makijaż, w którym główną rolę odgrywał intensywnie czarny *kohl*, podkreślający jeszcze bardziej i tak ekspresyjne oczy walencjanki. No i oczywiście bezbłędnie zrobione paznokcie – długie, polakierowane na czerwono z białymi końcówkami, tak jak Maria José najbardziej lubiła.

– Czerwień zawsze daje dużo siły, pokazuje pewność siebie i skłania do szacunku – zwykła mawiać.

Co do ubioru, zdecydowała się na czarną kreację. Czern była jednym z jej ulubionych kolorów, a poza tym bez wątpienia najmniej ryzykownym, jeśli chciało się dobrze wypaść i zminimalizować ryzyko niedopasowania do okoliczności. Całości stroju dopełniały odpowiednio dobrane buty i torebka.

Po niemal trzech godzinach intensywnych przygotowań i drobiazgowej inspekcji przed lustrem specjalna klientka Davida była usatysfakcjonowana, czego dowodem był szeroki uśmiech, który wykwitł na jej twarzy. Ucałowała Davida i poprosiła, żeby życzył jej szczęścia.

– Szczęście to będzie miał on, jeśli się w nim zakochasz, Mary Jo – odparł jej przyjaciel. – Tak, to on będzie miał szczęście...

· 3 ·

Pierwszym dźwiękiem, jaki David usłyszał nazajutrz, był dzwonek telefonu. Poprzedniego wieczoru zasnął na sofie, oglądając telewizję, najpewniej jakiś czarno-biały film – jeden z tych, o których dawno temu mawiano, że opowiadają „o miłości i wytwornym życiu”, i które tak lubił. Nie zdołał nawet przenieść się przed zaśnięciem na łóżko i wyłączyć telewizora, który nadal był włączony, kiedy na drugim końcu linii telefonicznej David usłyszał głos Marii José:

– Chyba mi się podoba. Myślę, że to może być mężczyzna mojego życia. Poraziło mnie.

– Kto ci się podoba? Kto cię niby poraził?

Senne otępienie, które jeszcze nie opuściło Davida, nie pozwalało na jasne rozumowanie, a tym bardziej na precyzyjne odczytanie komunikatu, który tak znienacka zaczął mu przekazywać głos w słuchawce.

– Davidzie – w głosie przyjaciółki wypowiadającej jego imię zabrzmiał wyrzut, zwrócił więc baczniejszą uwagę na jej słowa, gwałtownie starając się oprzytomnieć. – Davidzie, obudź się. A któż by to miał być?

– Dobrze, dobrze, nie denerwujmy się. Opowiedz mi wszystko. Powolutku i przede wszystkim trochę ciszej.

– No to przejdź na drugą stronę ulicy.

Gadali przez kilka godzin. David prosił o coraz to więcej szczegółów. Chciał wiedzieć dosłownie wszystko o pierwszej randce z nieznanym i tajemniczym Peterem. María José nie szczędziła swej nowej zdobyczy komplementów. Wychwalała sposób bycia Petera, otwartość, poczucie humoru, łatwość prowadzenia interesującej rozmowy. Maniery przy stole, dobre wychowanie. Sylwetkę, zielone oczy i naturalność.

– Podoba mi się. Bardzo mi się podoba. Jest taki przystojny! I wcale nie wygląda na swój wiek. Jest ode mnie prawie dziewięć lat starszy, a to spora różnica. I działa na moją korzyść. Mówił, że jest rozwiedziony. Jakieś błędy młodości... rozumiesz. No i uwaga: jest współnikiem w firmie, która ma siedzibę na Manhattanie, i teraz, razem z drugim współnikiem, analizują sytuację na rynku. Chcą uruchomić system franczyzowy, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i w innych krajach, włącznie z Hiszpanią. Nie powiesz mi chyba, że to nie jest jakiś znak!

– Jak widzę, wciąż ci się podobają biedacy.

Davidowi wydało się, że ten komentarz nie zachwycił przyjaciółki, ale też najwyraźniej nie zirytował jej za bardzo,

bo nawet nie uznała za stosowne pozbawić go następnych naleśników, które zjadał u niej w ramach smacznego śniadania.

– On jest wyjątkowy. Nie taki jak inni. A poza tym gra na perkusji, co mnie zupełnie rozbraja. Tamten gest niemal przyprowadził mnie o miłosny zawrót głowy!

Wyraz twarzy Davida zdradzał, że pogubił się w rozmowie, która jeszcze przed momentem przebiegała gładko. Jego przyjaciółka poczuła się zobowiązana wyjaśnić nieco bardziej szczegółowo, o co chodzi z perkusją.

– Kiedy skończyliśmy kolację, po dwóch godzinach gadania bez chwili przerwy czy milczenia z braku tematu albo ze zdenerwowania, wyszliśmy, żeby trochę się powłóczyć. Nie wiem, jak długo chodziliśmy po ulicach, ale w końcu dotarliśmy do Soho. I tam, za którymś rogiem, natknęliśmy się na grupę kolorowych muzyków, którzy grali na chodniku. To była cudna melodia, wpadająca w ucho, na pewno ją znasz, posłuchaj... – Brak na twarzy Davida widocznej reakcji na popis wokalny przekonał Marię José, że trzeba dać sobie spokój z występami artystycznymi i kontynuować relację.

– I nagle Peter zdjął marynarkę, poprosił mnie, żebym jej pilnowała, i podszedł do muzyków. Chciał z nimi porozmawiać. Nie wiem, co im powiedział, ale już po chwili zasiadł na miejscu perkusisty. I wtedy zaczęło się najlepsze. Właśnie w tym momencie wydarzyło się coś takiego... No, doszłam do wniosku, że to jest mężczyzna mojego życia.

Zachęcony tym, co właśnie usłyszał, David odruchowo przybliżył się do przyjaciółki, tak jakby chciał dać do zrozumienia, że okazuje jej – jeśli to w ogóle możliwe – jeszcze większą uwagę niż do tej pory.

– W tym momencie, kiedy reszta muzyków stroiła instrumenty, żeby zagrać następny kawałek, zobaczyłam, jak Peter unosi rękę do węzła krawata, chcąc go rozluźnić, o tak,

zobacz... – María José próbowała odtworzyć własnymi rękoma gest, który opisywała, żeby David mógł lepiej uzmysłowić sobie, o co chodzi... – i przy tym wykonał taki ruch głową, pokręcił nią z lewa na prawo, a jednocześnie rozpiął górne guziki białej koszuli. Zupełnie oszalałam. Zobacz, co się ze mną dzieje – mówiła, wyciągając w kierunku przyjaciela i powiernika trzęsącą się prawą dłoń. – Zupełnie jakbym zwariowała. Mam wrażenie, że w jednej chwili mnie poraziło. Tak, na pewno. Tak właśnie było. Dlaczego akurat mnie spotkało coś takiego? Uwierzyłyś w to?

David wykonał gest, jakby zamierzał odpowiedzieć, ale jego gadatliwa rozmówczyni nie dopuściła go do głosu.

– Mam ochotę znów go zobaczyć i nie sądzę, że wytrzymam długo. Umówiliśmy się już nawet na kolację, na jutro...

Po drugiej kolacji nastąpiło wiele kolejnych, aż w końcu nadeszła pora, by María José zorganizowała u siebie jedną ze swych słynnych imprez i przedstawiła Petera towarzystwu. On zaś w najmniejszym stopniu nie zawiódł podekscytowanych i zaintrygowanych gości, którzy licznie przybyli na kolację – tym razem już nie dla słynnej nowojorskiej linii dachów, pozwalającej się podziwiać z tarasu apartamentu Marii José. Teraz bowiem główną atrakcją był zgoła inny obiekt. Wszyscy pragnęli poznać tajemniczego mężczyznę, do którego wzdychała twarda i wymagająca prawniczka z Walencji. Tego, który zdołał ją w sobie rozkochar, którego profil internetowy odpowiadał jej oczekiwaniom bardziej niż jakikolwiek inny – a to oznaczało egzamin zdany z wyróżnieniem.

Najbardziej z całej grupy znajomych denerwował się David, co było zresztą zupełnie zrozumiałe. Od pierwszej chwili był przecież świadkiem tej historii, był w nią zaangażowany mocniej niż ktokolwiek inny spośród przyjaciół Marii José. W końcu nie na darmo stworzył nowy *look* przyjaciółki,

który przydał jej blasku podczas pierwszej randki. Może właśnie z tego powodu, a może po prostu ze względu na swą wielką sympatię dla tej kobiety, David, stanąwszy twarzą w twarz z Peterem, był tak zdenerwowany, że z trudem ukrywał swój stan.

– Ty musisz być David. María José dużo mi o tobie opowiadała.

Fryzjer, mocno poruszony sytuacją, poszukał wzrokiem potwierdzenia w oczach przyjaciółki, a wreszcie kiwnął głową.

– Jesteśmy jak brat i siostra. I nie myśl, że ona nie opowiada mi o tobie. Od kilkunastu dni nie mówi właściwie o niczym innym.

W trakcie kolacji opowieści krążyły wokół stołu równie żwawo jak wino. Większość z nich dotyczyła randek i kolejnych spotkań nowej pary. Omawiano też najróżniejsze kwestie dotyczące nowego członka grupy – a wszystko to nie obyło się oczywiście bez badawczych spojrzeń i gestów aprobaty biesiadników, z których jedni byli bardziej dyskretni, inni mniej. Na wszystkich Peter zrobił wrażenie człowieka uroczego i szalenie zabawnego. W jego towarzystwie śmiech nie ustawał. Wszystko potrafił zręcznie skomentować, a kiedy głos zabierał inny z gości, grzecznie słuchał, choćby mówca opowiadał o czymś zupełnie nieinteresującym.

Wszystko wskazywało więc na to, że niebawem dla nowej pary nadejdzie czas wspólnego życia i że życzenie wypowiedziane podczas pamiętnego toastu, wzniesionego niedawno przez Marię José – który przybrał postać desperackiego okrzyku: „Pragnę znaleźć sobie życiowego partnera!” – jest na najlepszej drodze, by się spełnić. W niedługim czasie tak właśnie się stało.

Związek Marii José z mężczyzną, który obejmował pluszowego misia i ustawił się pod bożonarodzeniową choinką, by uwieczniono jego oblicze, zacieśniał się coraz mocniej.

Niezależnie od tego prawniczka z Walencji kontynuowała swoje dotychczasowe zajęcia i niestrudzenie próbowała realizować nowy, ambitny projekt biznesowy. Chciała założyć firmę importującą hiszpańską oliwę, na punkcie której – nie miała co do tego żadnych wątpliwości – Amerykanie oszaleją. Pracowała od miesiący nad pomysłem sprowadzania oliwy z Andaluzji do Nowego Jorku. Spędzała bezsenne noce, siedząc przed komputerem, zagrzebana w stosie papierów, raportów, dokumentów, liczb, tabel, procentów, rozmaitych danych technicznych – a wszystko po to, by nadać kształt projektowi, który miał się stać przedmiotem zazdrości firm zajmujących się marketingiem. Ta praca pochłonęła wiele miesięcy – w większości przypadających na okres, zanim jeszcze Peter wkroczył do jej życia za pośrednictwem Sieci. Kiedy w końcu projekt przyjął ostateczny kształt, jego autorka była przekonana, że interes po prostu nie może nie wypalić, ponieważ wzięła pod uwagę wszystkie możliwe czynniki. Tak jej się w każdym razie wydawało.

Pewnej nocy, kiedy zaczynało już świtać, Davida obudził nagły i ostry dźwięk telefonicznego dzwonka. W pierwszej chwili miał wrażenie, że ktoś próbuje wyciągnąć mu serce przez gardło. Na drugim końcu linii usłyszał Marię José w stanie kompletnej hysterii. Wydawała z siebie dziwne, niezrozumiałe dźwięki, od których Davidowi zaświeciły się wszystkie możliwe lampki alarmowe. Wśród tych odgłosów był w stanie rozróżnić tylko trzy słowa: „wirus”, „komputer” i „projekt” – i oczywiście sławetne „przejdź przez ulicę”, choć płacz przyjaciółki nie pozwalał na zrozumienie tego zdania z całkowitą pewnością.

Kiedy David wszedł do mieszkania, w którym przeżył tyle dobrych chwil, stwierdził, że jego lokatorka zamieniła się w istny kłębek nerwów. Nie poznawał jej – przecież zawsze była pewna siebie, ufna i samodzielna. Mógł ją tylko

objąć i próbować pocieszać, omiatając jednocześnie wzrokiem mieszkanie, by uzyskać więcej danych na temat możliwych przyczyn stanu Marii José. Zupełnie jakby miał w oczach rodzaj aparatu rentgenowskiego, który za chwilę miałby mu umożliwić zdobycie niezbędnych informacji. Nie było to jednak potrzebne, ponieważ przyjaciółka prawie natychmiast zebrała się w sobie i sama zaczęła opowiadać o powodach tej strasznej desperacji.

– Złapałam jakiegoś komputerowego wirusa. Nie wiem jak ani od kogo – mówiła, jednocześnie prowadząc, a właściwie ciągnąc, swego przyjaciela przed ekran monitora, chwytając go za rękaw płaszcza i niemal siłą sadzając na krześle. – Pisałam spokojnie, gdy nagle ekran zaczął stopniowo wypełniać się czernią i wszystko znikło. – Skierowała na Davida spojrzenie pełne czułości, jakby błagała go o życie. – Choćby nie wiem co, musisz odtworzyć poprzedni system. Chodzi mi tylko o konfigurację. Reszta się nie liczy, dam sobie radę.

David nie mógł zrozumieć, jak Maria José może mówić, że „reszta się nie liczy”, skoro „reszta” oznaczała pracę, której poświęciła kilka ostatnich miesięcy swojego życia.

– Ach, tym się nie przejmuj! Wszystko mam tutaj – wyjaśniła, wskazując dwoma palcami prawej dłoni własną głowę. – To nie problem. Znam to na pamięć. Chciałabym odzyskać coś innego...

Po dwóch dniach znów miała swój projekt – nie taki sam jak poprzednio, ale ulepszony. To i owo, choć bardzo niewiele, udało jej się odtworzyć z wersji utraconej, resztę poprawiła i zoptymalizowała, korzystając z nowych danych i bardzo śmiałych pomysłów.

– Nie wiem, jak ty to robisz. Masz jakąś niezwykłą moc!

Było to jedno z ulubionych stwierdzeń Davida. Cokolwiek by się działo, jego „niezwykła moc” rozlegała się często, niczym okrzyk wojenny.

– To bardzo proste. Bóg dał mi mózg, więc powinnam go używać. I nie ma w tym żadnej innej tajemnicy. Gdybym tego nie robiła, byłoby to występkiem wobec... no wiesz wobec kogo. – David wielokrotnie zwracał uwagę na głęboko zakorzenioną religijność, z którą afiszowała się jego rodzaczka. W gruncie rzeczy odczuwał lekką zazdrość, bo był przekonany, że to właśnie za sprawą wiary w Boga z jego przyjaciółki emanuje jakieś szczególne światło i vitalność.

– A poza tym nie zdajesz sobie sprawy, jakim trudnościom musiałam stawić czoła. Zdziwiłbyś się.

Zamilkła na chwilę, wiedząc, że jej słuchacz umiera z ciekawości, jakież to nowe tarapaty pojawiły się w jej życiu.

– Posłuchaj, David, to jest bardzo poważna sprawa. Od miesięcy walczę, żeby doprowadzić do końca ten biznes. Sam widziałeś, jaki skomplikowany jest ten projekt na papierze, a mogłabym ci pokazać jeszcze więcej. Popatrz – powiedziała, otwierając nową zakładkę na ekranie komputera i energicznie poruszając myszą. – Chcę, żeby tak wyglądały butelki, w których będę sprowadzać oliwę z Hiszpanii. To wierna kopia dzwonnicy w Sewilli². A to jest logo. A tu są kanały dystrybucji. Wiesz, że od miesięcy szukam odpowiedniego lokalu, żeby umieścić tam firmę. Jeździłam kilka razy do Palermo, całkiem sama, bez strachu i bez ochrony, bez żadnej pomocy, po to by spotkać się z... – Zastanawiała się przez kilka sekund, po czym ciągnęła dalej. – No, powiedzmy że z włoskimi handlowcami. No i przez cały czas dostawałam wyłącznie odmowy. Nie tylko od Włochów, ale i od hiszpańskich przedsiębiorców. Nie ufają mi, bo jestem kobietą. Mogłabym iść na kolanach z pielgrzymką do

² La Giralda – wieża dzwonnicy w katedrze w Sewilli, pierwotnie zbudowana jako minaret, później jeszcze podwyższona, kiedy nadano jej funkcję dzwonnicy; jeden z najbardziej charakterystycznych budynków Sewilli.

Jaén³, z ramionami przypiętymi do krzyża, i wszystko na nic. Nie chcą mnie wesprzeć. Nie chcą ze mną współpracować, bo nie jestem mężczyzną! Cholerni macho! Idioci! Mogliby zarobić dużo pieniędzy, gdyby mi zaufali i weszli ze mną w ten biznes. Gdyby podpisali umowę, pchalibyśmy już to wszystko do przodu, tworząc sojusz przeciwko Włochom. Ale nie! Wolą, żeby to Włosi spili całą śmietankę, byle tylko nie musieli robić interesów z kobietą. Wiesz, że Włosi biorą naszą oliwę, wlewają ją do włoskich butelek, nalepiają na nie włoskie etykiety, które mają być gwarancją, że produkt pochodzi z Włoch, po prostu *made in Italy*? A hiszpańscy producenci oliwy nie robią nic, żeby temu zapobiec? No, to już teraz wiesz. Coś ci powiem: gdybym była mężczyzną, pomogliby mi. No więc zobaczysz, że jeszcze mi pomogą.

María José była najwyraźniej poruszona. W miarę jak mówiła i rozpalala się własnymi słowami, jej głos stawał się coraz wyższy, a mięśnie napinały się. Zdenerwowanie było widać także w jej ruchach, w ciągłym zapalaniu i gaszeniu papierosów – bez zaciągania się. Tego popołudnia miała ochotę się wygadać, wypuścić z siebie parę – no i trafiła na najlepszego słuchacza, jakiego mogła sobie wymarzyć.

– Parę dni temu znalazłam w samochodzie czarnego kota. Co ty na to? Przynajmniej powinnam być wdzięczna, że nie podrzucili mi do łóżka końskiej głowy, bo zwykle tak się zabawiają ci „włoscy handlowcy”.

– Ale moc! – odważył się powiedzieć David, któremu przyjaciółka nie dawała szans na wypowiedzenie jakiegokolwiek dłuższego zdania.

– Moc? Ty, mój ukochany i uwielbiany przyjacielu, nie masz zielonego pojęcia, co to znaczy moc! – Ostatnie słowo

³ Miasto w Andaluzji; tamtejsza katedra jest znanym miejscem kultu św. Weroniki.

nie zostało wypowiedziane zwyczajnie, lecz zwymiotowane. Nie przestając biegać jak opętana po mieszkaniu, María José chwyciła popielniczkę i zmiażdżyła w niej papierosa, którego paliła, o ile tę czynność można nazwać paleniem: każdy bowiem doszedłby do wniosku, że dym pochodzący ze spalania papierosa nie miał dość czasu, by dostać się do wnętrza ciała palaczki i je opuścić, po prostu nie starczało na to czasu... – Mocne było to, że włoskie kurwy okradły mnie z ponad czterech tysięcy beczek oliwy. Mafia, dam głowę, że to była mafia. A producenci hiszpańscy nie mieli najmniejszego problemu, żeby mi w tej sytuacji powiedzieć, że nie dają gwarancji powodzenia biznesu. I co mogę zrobić? Nic. Nic nie mogę zrobić.

Jedyną odpowiedzią na słowa rodaczki, na jaką zdobył się David, było pełne lęku i napięcia milczenie. Nie wiedział, czy wszystko, co dotarło do jego uszu, odpowiadało prawdzie, czy też były to raczej konfabulacje przyjaciółki, ale gdyby od niego miało zależeć uwierzytelnienie jej relacji, bez wahania by go udzielił. Cała ta opowieść po prostu go przerosła. Zresztą, jeśliby mówić całkiem szczerze, dotyczyło to wszystkiego, co wiązało się z Marią José.

– Ale będę szła dalej, aż mi się uda. Banda oszalałych męskich szowinistów nie poradzi sobie ze mną. Na ich nie-szczęście moi rodzice wciąż inwestują pieniądze w ten projekt i chcą, żeby posuwał się do przodu. A ja nie mam zamiaru ich rozczarować. Nie mogę tego zrobić. Szczególnie ojcu. Zawsze stawali po mojej stronie, zawsze. Nie mogę ich oszukać. Nie zrobię tego. Cholerni Włosi – rzuciła przekleństwo, zapalając kolejnego papierosa.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA 9

CZĘŚĆ DRUGA 125

CZĘŚĆ TRZECIA 275